

Jadwiga MIZIŃSKA

MOC DUCHA

Niepełnosprawność daje człowiekowi szczególne predyspozycje do tego, by oswajać się ze śmiercią jeszcze za życia. W pewnym sensie niepełnosprawni są wybrańcami Boga. Dane im jest na stałe poczucie, że skądinąd za darmo i na krótko dysponuje się cielesnym zdrowiem, sprawnością czy urodą, poczucie bezsiły, które nie pozwala wpadać w pychę.

Wojciecha Chudego poznałam przed laty za pośrednictwem zaprzyjaźnionego ze mną wówczas warszawskiego socjologa, sekretarza „Colloquia Communia”, Aleksandra Łazarskiego. Oleczek, jak go nazywaliśmy, był osobą pod każdym względem niezwykłą. Wielki erudyta, wynajdywał różnych autorów z bardzo odległych od siebie dziedzin i filozoficznych opcji, studiował ich uważnie i wnikliwie, zapisując całe zeszyty notatkami swoim charakterystycznym „pismem pętelkowym”, które trzeba było odszyfrowywać za pomocą lupy, a potem w niekończących się rozmowach komentował te lektury. Czynił to tak oryginalnie i z taką pasją, że my, koledzy przestaliśmy go w końcu namawiać, by sam zaczął pisać. Ja sama uznałam, że jest wynalazcą specyficznej „gawędy socjologicznej”: w każdym zaobserwowanym przez siebie małym wydarzeniu, opowiedzianym z dramaturgicznym zacięciem, potrafił ujrzeć jak gdyby mgnienie społecznego mikrokosmosu. Pomagała mu w tym rozległa wiedza filozoficzna.

Kiedy los zetknął nas po raz pierwszy, Oleczek akurat studiował Hegla. Sam uważał się za marksistę, a nawet leninistę. Był to koniec lat siedemdziesiątych, epoka mocno już nadkruszonej marksistowskiej ideologii, więc te jego deklaracje wydawały się nam zgoła egzotyczne. Swoje fascynacje podzielał zresztą wówczas z grupką warszawskich studentów socjologii, którzy w Bieszczadach wynaleźli sobie urocze miejsce na Otrycie i własnym wysiłkiem zbudowali tam Chatę Socjologa. Była to swego rodzaju pustelnia, panowały w niej surowe warunki i ewangeliczne wprost ubóstwo. Studenci pod wodzą Henryka Kliszki (obecnie profesora na Uniwersytecie w Białymstoku) radzili nieustająco o „zbawieniu świata” przez wprowadzenie w życie tym razem „naprawdę czystego komunizmu”. Jak widzę to dziś, po upływie kilkudziesięciu lat, była to specyficzna odmiana ruchu hippisowskiego, tyle że w wersji rodzimej, nie pochodzącej z zachodniego importu. I amerykańskie „dzieci kwiaty”, i polscy „ortodoksyjni leniniści” snuli utopię społeczeństwa wolnego od wszelkiej alienacji, poczynając od alienacji pracy aż po alienację miłości.

W swoich teoretycznych poszukiwaniach „czystych” źródeł marksizmu Olek dotarł wówczas do Hegla i odkrył poświęcone temu filozofowi prace Wojciecha Chudego. Odszukał jego adres i zaczął przyjeżdżać na spotkania do Lublina. O ile wiem, panowie serdecznie się polubili, a wkrótce i ja miałam możliwość obcowania z nimi obydwoma. Z początku to zderzenie tak odległych od siebie szkół myślenia ogromnie mnie dziwiło i – nie ukrywam – zachwyciło. Bariery między „obozem” marksistowskim a chrześcijańskim wydawały się wówczas bowiem wyższe niż chiński mur i w dobrym towarzystwie nie wypadało się przyznawać, że utrzymuje się jakiekolwiek stosunki z „ideologicznym nieprzyjacielem” – zasada ta obowiązywała zresztą po obu stronach. Olek z Wojtkiem czynili w tym murze wyłom, a i ja co prędzej z niego skorzystałam. Była to – jak myślę – sprawa ich osobowości. Zarówno Olek, jak i Wojtek byli (bo Oleczek też już od lat nie żyje) ludźmi idei, a nie ideologii. Nie tylko nie przeszkadzało im, że ktoś myśli inaczej, ale na odwrót, pociągała ich owa odmiennność, lubili się z nią mierzyć. Obydwaj też pozbawieni byli ideologicznej zaciekłości i zajadłości, która w owej epoce była powszechna i nakazywała – obustronnie – nawet nie tyle zwalczać przeciwny kolor, już to „czerwony”, już to „czarny”, ile go lekceważyć i nim pogardzać.

Tymczasem Oleczek, wielbiciel Lenina, kupił sobie i czytał „do poduszki” *Metafizykę* o. Alberta Krapca, twierdząc, że go ta lektura wycisza wewnątrz i uspokaja. Nie wiem, co oprócz Hegla w tym samym czasie czytywał przed snem Wojtek, nie byłabym zdziwiona, gdyby to był *Kapitał*...

Dowiedziawszy się, że Wojciech nie tylko studiuje, ale i wyklada Hegla na prywatnym domowym seminarium, zaprosiłam go z tym wykładem do Instytutu Filozofii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, gdzie byłam wówczas prodziekanem do spraw studenckich. Wojciech przyjął zaproszenie i od tej pory co tydzień prowadził go dla naszych doktorantów. Uczęszczałam i ja pilnie, oczarowana wielkim kunsztem Wojtka jako wykładowcy. Do dziś zachowałam notatki zarówno z wykładów o Heglu, jak też o filozofii kłamstwa, bo udało się przedłużyć nasze zajęcia na kolejny rok akademicki, poświęcając je właśnie temu tematowi.

Wojciech Chudy był wykładowcą doskonałym. Zazdroszcząc mu tego talentu, starałam się od niego uczyć sumienności, klarowności, rzeczowości, umiejętności trzymania w napięciu uwagi słuchaczy przez dwie godziny. Każdy wykład był osobną całością, a razem nanizywały się one na nić głównej tezy, która potem stała się centralną osią książki opracowanej na ich kanwie. Szczególnie zadziwił mnie Wojciech tym, że do swych publikacji włączał też głosy seminarzystów i słuchaczy, traktując je z całą uwagą i powagą.

Przez dwa lata mieliśmy zaszczyt nosić Profesora na rękach. Całkiem dosłownie. Kiedy podjeżdżał pod gmach humanistyki samochód, czekała już czwórka młodych chłopców, którzy porywali wózek z Wojciechem i wnosili go do sali wykładowej jak w lektyce. Lubiałam też rozmawiać z nim na klęczkach

podczas przerw, tak by nasze twarze znajdowały się na tym samym poziomie. Wojciech miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że jego fizyczna ułomność stawała się przezroczysta. Nie budziła ani zawstydy, że jest się zdrowszym, ani nawet współczucia, nie mówiąc o litości. Sądzę, że to potęga jego intelektu, siła ducha i niezmienna pogoda usposobienia pozwalały zapomnieć o cielesnych niedostatkach i o zapewne nieodłącznym od nich cierpieniu.

Niemniej jednak Wojciech utożsamiał się z innymi niepełnosprawnymi i dla nich (oraz o nich) pisywał mądre i pocieszycielskie felietony w ukazującym się kiedyś lubelskim miesięczniku organizacji społecznych „LOS”. Bardzo mnie zaskoczyło i wiele wyjaśniło jego stwierdzenie z artykułu *Odchodzenie z nadzieją. U podstaw pedagogiki umierania*¹, iż niepełnosprawność daje człowiekowi szczególne predyspozycje do tego, by oswajać się ze śmiercią jeszcze za życia. W pewnym sensie – pomyślałam – niepełnosprawni są wybrańcami Boga. Dane im jest na stałe poczucie, że skądinąd za darmo i na krótko dysponuje się cielesnym zdrowiem, sprawnością czy urodą, poczucie bezsiły, które nie pozwala wpadać w pychę. Brak sił i fizycznych walorów, tak przesadnie i krótkowzrocznie uznawanych za liczące się w dzisiejszym świecie, świecie, który przypomina hipodrom, gdzie trwają nieustająca gonitwa i wyścigi o szybki sukces uzyskiwany per fas et nefas, stawia niepełnosprawnych przed wyborem: albo wycofać się, zrezygnować, popaść w społeczny autyzm, albo przenieść ambicje na inną płaszczyznę („planszę”- jak by powiedział Wojciech). Aby się na niej znaleźć, należy jednak uruchomić w sobie rezerwuar m o c y. Moc nie ma nic wspólnego z siłą. Jest ona zgoła niezależna od danych fizycznych. Pochodzi z głębi d u c h a. W istocie drzemie ona w każdym z nas jako potencjalność. Rzecz w tym, że można ją wykorzystać w dwóch przeciwnych sobie kierunkach: albo w kierunku p r z e - m o c y albo p o - m o c y.

Pomoc, tak samo zresztą jak i przemoc, może być adresowana albo do innych, albo do samego siebie. Najbardziej wiarygodna pozostaje wtedy, gdy spieszący z pomocą drugiemu (medice cura te ipsum!) wpierv potrafi pomóc sobie sam. To znaczy, gdy udowodnił, że zapanował nad własnymi słabościami, przekształcając je z faktycznego lub rzekomego upośledzenia w źródło przewagi nad innymi, „zdrowymi” – nie po to jednak, by się z nimi porównywać i „ścigać”, ale by odnaleźć głębszy sens swoich cierpień, zarówno cielesnych, jak i psychicznych, aby dopatrzeć się w nich specyficznego wyzwania czy wprost przeznaczenia. Przeznaczenia takiego chociażby, że kalectwo w jednej dziedzinie, wyłączając nas z ubiegania się o dobra, jakie ona oferuje, zwraca nas ku innym, które tamta dziedzina sobą zasłania.

Sfera materialności, jakkolwiek nieodzowna do życia, kiedy jednak nazbyt pochłania zdrowe, młode, silne osoby, sprawia zarazem, iż osoby te ślepną na Transcendencję. Gdy jednak nieodwołalnie i na nie przychodzi choroba, sta-

¹ Tekst ten przedrukujemy w niniejszym numerze „Ethosu”.

rość, niezaradność, a zwłaszcza perspektywa rychłej śmierci, stają wobec nich bezbronne i przerażone. Z punktu widzenia następujących im na pięty młodszych generacji, zapatrzonych w ten sam cel – dobrobyt, stają się one ludzkimi „spadami” (to wyrażenie z nieoficjalnego żargonu lekarzy). Tymczasem „wybranie do cierpienia”, spowodowane czy to nieuleczalną chorobą czy kalectwem, odsyła takowych „wybrańców” nie tylko do walki ze swymi ułomnościami, ale też do wzniesienia się ponad nie. Zmusza do zbratania się z notoryczną słabością, co więcej – do uczynienia z niej źródła siły. Siły moralnej, którą czerpać można jedynie z pokładu m o c y d u c h o w e j.

O tego rodzaju „sile bezsilnych” pisał w konspiracji i pod pseudonimem swego czasu „Józef K.”, czyli – jak się potem okazało – Václav Havel, odnosząc ją głównie do sfery politycznej. Wojciech Chudy w milczeniu i dyskretnie realizował ją życiu. Dzięki temu w swojej zbyt wcześnie przerwanej biografii zdołał dokonać tak wiele, i to na tak licznych polach, że budzi to podziw także w nas, „pełnosprawnych”. Zapewne jego osiągnięcia przedstawią autorzy bardziej ode mnie zorientowani i kompetentni. Ja pragnę tylko podkreślić to, z czego sama najchętniej korzystałam: dobroć Wojciecha, wyrażającą się w przyjaźności, życzliwości, umiejętności przekraczania małodusznych podziałów pomiędzy uniwersytetami sąsiadującymi przez ulicę (wpierw Marcela Nowotki, obecnie ks. Idziego Radziszewskiego) – Katolickim Uniwersytetem Lubelskim a Uniwersytetem Marii Curie-Skłodowskiej. Łatwiej ją było, widać, przejechać na wózku inwalidzkim, niż przejść na zdrowych nogach...